

Roman Juszkiewicz

Moja służba wojskowa w latach 1946-1948

Przegląd Historyczno-Wojskowy 13 (64)/3 (241), 219-226

2012

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Moja służba wojskowa w latach 1946–1948

Zasadniczą służbę wojskową w Wojsku Polskim rozpocząłem 26 sierpnia 1946 r. i pełniłem ją w okresie trudnym dla kraju – tak pod względem gospodarczym, jak i politycznym. Kartę powołania otrzymałem z RKU Pabianice. W wojsku mówiono nam, że jest to pierwsze powojenne wcielenie. Mieliliśmy służyć w „odrodzonym” Wojsku Polskim. Nie było to żadne „ludowe” Wojsko Polskie ani tzw. polskojęzyczne ludowe Wojsko Polskie.

Do poboru wraz ze mną stanęło 200 poborowych, w tym jeden ochotnik. Wraz z kolegami, a byli to poborowi z województwa łódzkiego, poznańskiego i katowickiego, zostałem wcielony do 1 okręgowego batalionu łączności w Warszawie. Batalion miał 3 kompanie: szkolną, eksploatacyjną (zajmowała się ona konserwacją i budową napowietrznych, wojskowych linii telefonicznych w całym Warszawskim Okręgu Wojskowym) oraz sztabową, która obsługiwała okręgowy węzeł łączności.

Kompania szkolna (właściwie była to szkoła podoficerska) miała trzy plutony: radiotelegraficzny, telegraficzny i eksploatacyjno-budowlany. Kompania sztabowa, w której służył jeszcze „wojenny rocznik”, stacjonowała w cytadeli warszawskiej. Nasze koszary, a stanowiły je trzy baraki, były usytuowane między alejami Ujazdowskimi, aleją Szucha i ulicą Bagatela. Jeden z baraków mieścił sztab batalionu, izbę chorych i wartownię. W drugim mieszkała kadra z rodzinami, a w trzecim były rozmieszczone dwie kompanie: szkolna i eksploatacyjno-budowlana, liczące razem ok. 200 żołnierzy. W szczycie baraku były dwa pomieszczenia: w jednym mieszkali nieżonaci członkowie kadry, w drugim zaś urządzono salę wykładową plutonu radiowego. Baraki były w złym stanie technicznym. Ogrzewanie naszego „koszarniaka” stanowiły tylko dwa okrągłe ceglane piece „obite” blachą. Norma opałowa na jeden piec wynosiła 4 kg węgla. Piętrowe łóżka stały w czterech rzędach: po jednym rzędzie wzdłuż ścian bocznych i dwa rzędy złączone pośrodku baraku. Barak miał tylko dwa wejścia. Jeśli padała komenda: *Przed barakiem zbiórka!*, to wychodziliśmy na zewnątrz powoli, a dopiero przed barakiem poruszaliśmy się biegiem.

Spaliśmy na siennikach wypchanych słomą; takie same były „zagłówki”. Za przykrycie mieliśmy po dwa koce z „pokrzyw”. Między te dwa koce wkładaliśmy płaszcz-pałatkę. Zima 1946/1947 była mroźna. W wiadrze przy stoliku podoficera dyżurnego zamarzała woda. Żadnych cywilnych ciuchów pod mundur nie wolno było nosić. Późną jesienią obudowano nasze baraki cegłą na „sztorc”, ale niewiele to dało. Nie było żadnego poddasza. Ostrzyżono nas na zero, wykąpano w „łaźni polowej”, przywiezionej specjalnie na tę okazję; później została zdemontowana. Mundury, buty i bielizna były nowe. Ja sam do wiosny 1947 r. chodziłem we własnych „unrowskich traktorach”, gdyż butów dla wszystkich nie starczyło.

Umundurowanie. Kurtki były zapinane pod szyję. Do kołnierza przyszywaliśmy białe „zaboty”. Sprawiało to pewien kłopot, bo nie wszyscy umieli posługiwać się igłą. Na co dzień chodziliśmy w mundurach drelichowych; spodnie ze spinaczami. Płaszcz sukienny był także z „pokrzyw”, podobnie jak polowe rogatywki i furazerki. Plecaków ani „mieszoków” nie otrzymaliśmy. Mundur sukienny był mundurem wyjściowym; pełniliśmy w nim także służbę wewnętrzną i wartowniczą. Całą zimę

przechodziliśmy w mundurze drelichowym. Dobrze chociaż, że mieliśmy flanelową bieliznę. Onuce zamiast skarpet, których nie wolno było nosić. Onuce i owijacze do munduru sukiennego, to była zmora dla nas – młodych żołnierzy.

Powstał problem, kiedy nasz szef kompanii, st. sierż. Stanisław Paciorkowski – żołnierz frontowy, Krzyż Walecznych – pokazał nam, jak ma wyglądać złożony na taborecie w „kostkę” mundur po apelu wieczornym. Nie było jednak taboretów. Szef kompanii zapowiedział, że w ciągu 3 dni mamy je sobie „zorganizować”. Na zapytanie, skąd mamy wziąć te taborety, padła wulgarna odpowiedź. Warszawa w gruzach, żadnych możliwości „zorganizowania” tyłu taboretów (kompania eksploatacyjno-budowlana też otrzymała taki nakaz). Jeden z kolegów wpadał na szatański pomysł. W obrębie naszych „koszar” znajdowały się ruiny byłej Centralnej Biblioteki Wojskowej. Budynek był do parteru wypalony, a na rusztowaniach leżały prawie nowe deski. W ciągu jednej nocy deski z rusztowania zamieniły się w ławeczki na szerokość dwóch łóżek. Dwie kompanie pracowały nad tym całą noc. Narzędzia mieliśmy z kompanii eksploatacyjno-budowlanej. Kadra zapewne słyszała naszą krzątanicę, piłowanie desek oraz zbijanie ławeczek. Rano „kostki” były na ławeczkach. Szef kompanii nie pytał, skąd wzięliśmy na nie materiał. Oczywiście wiedział, ale udawał, że nic się nie stało. Wybuchła afera. Rano przyszli robotnicy do pracy i nie mogli jej rozpocząć, bo na rusztowaniach nie było desek. W odbudowanym gmachu miała urzędować Rada Państwa. Rano ze świątą przyjechał Bolesław Bierut – przewodniczący Rady Państwa. Zobaczył nasze stołki w baraku, potem przyszedł na stołówkę, by obejrzyć domorosłych stolarzy. Trzeba trafu, że z sufitu odpadł kawałek mokrego tynku. Bez słowa wyszedł. Nawet „smacznego” nie powiedział. Nie przeprowadzono żadnego dochodzenia. Dowództwo batalionu miało może jakieś przykrości, ale my tego nie odczuliśmy. Tu muszę wspomnieć, że nie było też żadnych szafek przy łóżkach. Przybory toaletowe i różne osobiste drobiazgi trzymaliśmy w walizkach. Nie było szaf na mundury. Drugi komplet umundurowania był złożony w „kostkę” i leżał na łóżku. Stołówka była na parterze tego odbudowywanego budynku, kuchnia i umywalka w piwnicy. Oczywiście tylko zimna woda. Codziennie rano bieg na odległość 300 metrów do mycia; czy latem czy zimą rozebrani do pasa. Zimą zamarażały nam ręczniki na szyjach. Na drugi dzień przywieziono nowe deski na rusztowanie, ale batalion ochrony rządu wystawił wartownika. Później ochronę rusztowania przejął nasz batalion.

Rzeczą w wojsku niespotykaną było pełnienie służby wartowniczej przez żołnierzy, którzy nie złożyli jeszcze przysięgi wojskowej i nie odbyli ostrego strzelania. Doszło do tego po zwolnieniu żołnierzy wojennego rocznika, kiedy okazało się, że nie ma kto pełnić służby wartowniczej. Przeszkolono nas w trybie przyspieszonym z regulaminu służby wartowniczej oraz w obchodzeniu się z bronią. Byliśmy uzbrojeni w stare rozkalibrowane kabelki. Ponieważ nie było do nich wyciorów, podczas czyszczenia broni wiązaliśmy szmaty do kawałka kabla telefonicznego. W dniu, w którym objęliśmy pierwszą wartę, nikt nie odważył się poruszać po terenie koszar po zmroku. Tak było chyba przez tydzień; mieliśmy przecież ostrą amunicję.

Miałem dwa przypadki przy czyszczeniu broni. Kiedyś w lufie mojego urwał się przyczepiony do kabla pakunek. Bezskutecznie próbowałem przepchać lufę patykiem i drutem. Zameldowałem o tym dowódcy plutonu. Ten wziął nabój, zdjął pocisk i samym ładunkiem prochowym przestrzelił lufę. Metodę tę zastosowałem sam, kiedy podobny wypadek zdarzył się żołnierzowi z mojej drużyny. Było to już w Mińsku Mazowieckim, gdzie byłem kapralem w plutonie radiowym, też w szkol-

nej kompanii. Postąpiłem podobnie jak mój dowódca plutonu, tyle tylko, że zrobiłem to w skrytce pod schodami; przez tydzień chodziłem ogłuszony. Myślałem, że straciłem słuch.

Na pierwszej zbiórce kompanii podano nam pełną nazwę jednostki i jej numer (JW 4425) do korespondencji z rodziną. Pouczono nas, o czym wolno nam pisać w listach i o czym wolno nam rozmawiać z osobami postronnymi. Podano też, że do przełożonych i starszych stopniem należy zwracać się per „obywatel”; żadnych „panów” w wojsku nie ma. Dostałem przydział do kompanii szkolnej, do plutonu radiotelegraficznego. Miałem więc zostać radiotelegrafistą.

Przysięgę wojskową mieliśmy bardzo uroczystą. Razem z nami przysięgał młody rocznik Batalionu Ochrony Rządu i Kompanii Reprezentacyjnej Wojska Polskiego. Przysięgę odbierał generał Bruno Olbrycht – dowódca Okręgu Wojskowego I. Przedwojenny generał – we wrześniu 1939 r. był dowódcą 39 Dywizji Piechoty Rezerwy. Oczywiście była msza polowa. Nabożeństwo odprawił ksiądz Franciszek Kupsz – legendarny kapelan 1 DP im. Tadeusza Kościuszki. Do mszy służyli oficerowie batalionu. Była Reprezentacyjna Orkiestra Wojska Polskiego oraz kompania honorowa ze sztandarem. Przy ulicy Bagatela, frontem na nasze „koszary” stał budynek ambasady szwedzkiej. W dzień przysięgi wszystkie okna ambasady zapełniły się cudzoziemcami, oczywiście z aparatami fotograficznymi.

Nasz rozkład dnia. Pobudka o godz. 6.00, w niedzielę i święta – o 7.00. Gimnastyka, poranna toaleta z dobiegiem do umywalni, śniadanie. Na porannym apelu „Rota” i „Kiedy ranne wstają zorze”. Zajęcia szkolne do obiadu i po obiedzie do 17.00. Czas wolny do kolacji. Po kolacji zajęcia świetlicowe, ale bez świetlicy. Głównie nauka śpiewu marszowego. Śpiewaliśmy: „Okę”, „Marsz I Korpusu”, „Rozszumiały się wierzby płaczące”, „Dziś do ciebie przyjść nie mogę”, „Płynie Wisła płynie”. Naszymi ulubionymi, popisowymi piosenkami były: „Kwiat paproci”, „Tam nad Wisłą w dolinie”, „Czy pamiętasz tę noc w Zakopanym” oraz „Wyszła raz dziewczyna przed koszary”. Gdy kompanię prowadził oficer, była zaraz komenda: *Następna!* Te popisowe piosenki śpiewaliśmy wszędzie, w czasie przemarszu do kościoła lub do łaźni na Woli. Tych piosenek nauczyliśmy się od żołnierzy batalionu ochrony, których kompania przychodziła codziennie, by objąć wartę przy Belwederze, przy budynkach rządowych i mieszkalnych kadry zawodowej.

Na zakończenie dnia był apel wieczorny, znowu „Rota” i „Wszystkie nasze dzienne sprawy”, poprzedzone odczytaniem rozkazu dziennego i „gadką” szefa kompanii. Capstrzyk o godz. 22.00.

Wyżywienie było bardzo skromnie i jednostajnie. Na śniadanie mamałyga – kasza kukurydziana, chleb i czarna kawa. Obiad to kaszanka, gotowane mięso, zupa na amerykańskiej fioletowej fasoli, śledzie (ziemniaki dostaliśmy raz, dopiero pod koniec października), kasza jęczmienna – pęczak. Przydziałową normę chleba i cukru na następny dzień otrzymywaliśmy wieczorem po kolacji. Cukier sypano łyżeczką do dłoni; zaraz go zresztą zjadaliśmy. Po jakimś czasie każdy „zorganizował” sobie jakieś pudełko na ten cukier. Chleba było za mało, byliśmy ciągle niedojedzeni; rodziny dosyłały wałówki. Nie wydano nam żadnych kubeczków; dostaliśmy niezbędniki, które nosiliśmy przy sobie. Rano zjadałem z cynowej miski swoją mamałygę, a później, nie myjąc jej, piłem z niej czarną kawę. Na święta państwowe, Wielkanoc i Boże Narodzenie fasowaliśmy po „setce” wódki. Dostawaliśmy też po 100 papierosów „Mazur” na miesiąc. Nie paliłem, oddawałem cały przydział kolegom. W niedzielę i święta po

apelu porannym była komenda szefa kompanii: *Kto nie idzie do kościoła – wystap!* Na pierwszej zbiórce wystąpiło dwóch kolegów, jeden był Żydem, drugi należał do PPR. My udaliśmy się do kościoła, a oni poza kolejką poszli sprzątać latrynę. Kwaterowaliśmy w centrum Warszawy, w barakach nie było wc, latryna była usytuowana wzdłuż parkanu odgradzającego koszały od alei Szucha. Można było sobie wyobrazić zapachy, a było nas 200 zdrowych chłopaków. Jeden z niechodzących do kościoła poskarżył się oficerowi polityczno-wychowawczemu i na następną niedzielę padła już inna komenda: *Chętni do kościoła – zbiórka!* Na nabożeństwa chodziliśmy do kościoła św. Krzyża. Po nabożeństwie maszerowaliśmy ze śpiewem (podobnie zresztą jak i do kościoła) do kina „Altantic” lub „Polonia”, cudem ocalałych w Warszawie. Seanse dla całego warszawskiego garnizonu były bezpłatne. Tam również poszczególne jednostki wojskowe przed seansem pisały się wykonywaniem piosenek.

Po przysiędze można było otrzymać przepustkę do miasta. Wielu chętnych nie było; Warszawa była w gruzach. W wielu budynkach ocalały tylko partery. W części z nich mieściły się zakłady gastronomiczne, ale nie były one na naszą żołnierską kieszeń. Za otrzymany żołd kupowaliśmy sobie produkty żywnościowe, składkową ćwiartkę „Perełki” (była taka wódka); mogliśmy ją kupować w kiosku z gazetami przy koszarach. Czas na przepustce wykorzystywałem na zwiedzanie Warszawy: siadałem w tramwaj, jechałem do pętli i z powrotem. Tak zwiedzałem Warszawę wiosną 1947 r. To była inna Warszawa niż ta, którą widziałem w styczniu 1939 r., jako uczestnik kursu ideologiczno-organizacyjnego Ligi Morskiej i Kolonialnej. Po obiedzie zwiedzaliśmy Warszawę. Byłem w Muzeum Narodowym i w Belwedrze, który był muzeum poświęconym marszałkowi Józefowi Piłsudskiemu. Byłem świadkiem przeniesienia trumny Romana Dmowskiego zza Wisły do Katedry Warszawskiej. Pamiętam kondukt pogrzebowy z pochodniami (kurs odbywał się w dniach 5–7 stycznia 1939 r.).

Po przysiędze rozpoczęło się szkolenie specjalistyczne, nauka nadawania i odbioru znaków Morse’a. Rolę generatora sygnałów i słuchawek radiowych odgrywał brzęczyk aparatu telefonicznego. Początkowo nadawanie znaków było na „głucho”. Znaki nadawaliśmy kluczem telegraficznym – był inny niż klucz radiotelegraficzny. Z czasem pod kierunkiem dowódcy plutonu zbudowaliśmy układ połączeń z tym aparatem i wtedy prowadzący zajęcia (SRR) słyszał co ja nadaję, a ja także miałem w słuchawce swój sygnał. Wkrótce rozpoczęliśmy pracę na przenośnych radzieckich radiostacjach polowych typu RB. Urozmaiceniem zajęć był wymarsz plutonu z koszar na naukę prowadzenia korespondencji radiowej – początkowo w kierunkach, a później także w sieciach radiowych. Jeden żołnierz niósł na plecach nadajnik, drugi zaś zestaw zasilania. Oba urządzenia były połączone kablami. Nikt urzędowo nie przydzielał nam zakresu fal (robił to każdorazowo dowódca plutonu wg własnego uznania), na których prowadziliśmy korespondencję foniczną, później telegraficzną. Jak ktoś był na mojej fali (przeważnie była to korespondencja foniczna w języku rosyjskim), to go przepędzałem, powodując zwarcia kluczem telegraficznym. Przeważenie chodziliśmy na Pola Mokotowskie. Tam jeszcze można było znaleźć pozostawione przez ogrodników pomidory, ogórki czy marchew. Przy kiepskiej pogodzie wpraszałyśmy się do okolicznych domów. Przechwaliliśmy się potem między sobą, czym nas, „biednych żołnierzy”, ugoszczono.

Nasz pluton radiotelegraficzny w odróżnieniu od plutonu eksploatacyjno-budowlanego miał zajęcia na sali wykładowej w naszym „koszarniaku”.

Po przysiędze zostałem zastępcą dowódcy plutonu, będąc jednocześnie dowódcą 1 drużyny i elewem szkoły podoficerskiej. Szkołę tę ukończyłem w 1947 r., z drugą lokatą na 97 elewów. Moim dowódcą plutonu był ppor. Henryk Bogdanowicz, żołnierz wileńskiej AK, zmobilizowany do WP w 1944 r. Był odznaczony Krzyżem Walecznych. Później ukończył WAT i zakończył służbę wojskową na stanowisku szefa łączności Dowództwa Obrony Przeciwlotniczej Obszaru Kraju. Plutonem telegraficznym dowodził ppor. Zygmunt Klimecki, w końcowym etapie służby wojskowej był szefem sztabu 1 Korpusu OPK. Dowódcą plutonu eksploatacyjno-budowlanego był ppor. Józef Kelner, były partyzant BCH na Lubelszczyźnie. Później został wykładowcą w Studium Wojskowym Wyższej Szkoły Morskiej w Gdyni.

Wszyscy ci oficerowie byli z pierwszej promocji Oficerskiej Szkoły Łączności w Sieradzu. Dziś, gdy to piszę, może się wydać nieprawdopodobne, że przed naszym przyjazdem do jednostki wypchali oni nasze sienniki słomą. Robili to razem z czterema naszymi podoficerami zawodowymi.

Nie wiem z jakiej okazji wizytował nasz batalion gen. Marian Spychalski, ówczesny zastępca naczelnego dowódcy WP ds. polityczno-wychowawczych. Spotkanie z nim odbyło się tylko w kompanii szkolnej. Słuchaliśmy generała, stojąc między łózkami. Z marszu zapytał: *Kto był w partyzantce*. Rękę podniósł kolega Bogdan Korycki. *W jakiej partyzantce byliście?* – zainteresował się Spychalski. *U marszałka Tito* – padła odpowiedź. Dalszej rozmowy nie było. Widocznie nie o taką partyzantkę ministrowi chodziło. Później, już w Mińsku Mazowieckim, batalion wizytował płk Wiktor Ziemiński, kwatermistrz Warszawskiego Okręgu Wojskowego, późniejszy wieloletni główny kwatermistrz WP.

Każdego tygodnia chodziliśmy do łaźni na Wolę, do miejskiej gazowni. Kto zna Warszawę, ten może sobie wyobrazić odległość od ulicy Bagatela do gazowni na Woli. Odległość tę pokonywaliśmy zimą i latem, maszerując ze śpiewem, tam i z powrotem. Jak wyglądała nasza kąpiel? Prysznic nie były zadane, toteż po umyciu w pośpiechu wkładaliśmy buty i z mundurem pod pachą śmigaliśmy w okolice pieców koksowych. Tam się suszyliśmy i wkładaliśmy mundury; nikt nie chorował ani nie miał kataru. W czasie przemarszu na Wolę furorę zrobiły nasze spinacze od spodni. Jeden z kolegów wpadł na pomysł, aby ten element naszego umundurowania wybielić chlorem – na wzór spinaczy amerykańskich MP. Dowództwu to się nie podobało; szukano autora pomysłu, ale spinaczy nam nie wymieniono. Naszym przełożonym nie podobały się też nasze orzełki. Nie były to już orzełki piastowskie – miały bowiem koronę. Kupowaliśmy je w kiosku obok koszar, ale nasz dowódca plutonu obcinał im koronę ostroszczykami. Chcąc tego uniknąć, nowo zakupionym orzełkom zaginaliśmy korony. Ale kiedy okazało się, że bystre oko dowódcy plutonu dostrzegło nasz fortel, daliśmy za wygraną.

Ważnym wydarzeniem politycznym w kraju były wówczas wybory do Sejmu Ustawodawczego w styczniu 1947 r. W jednostce nie było żadnej intensywnej propagandy, na kogo mamy głosować. Przed wyborami batalion wystawił dwie grupy propagandowo-ochronne, które miały działać w podwarszawskich miejscowościach. Głównym ich zadaniem miała być ochrona lokali wyborczych w dniu wyborów. Ponadto miały one zbierać wiadomości o ustosunkowaniu się miejscowej ludności do władz. Tam, gdzie były nasze grupy, nie zanotowano żadnych negatywnych incydentów.

Nasz pluton radiowy już od połowy listopada 1946 r. był intensywnie przygotowywany do pracy na radiostacji. Dostaliśmy fabrycznie nowe radiostacje przenośne

RBM (M – modernizowane). Tydzień przed wyborami radiostacje były sprawdzane, zaopatrzone w zapasowe źródło zasilania (baterie anodowe) i zaplombowane. Zaplombowano również naszą salę wykładową, gdzie zmagazynowano sprzęt. Plombowaniem zajmował się przybyły do batalionu kapitan Armii Radzieckiej. Po polsku nie mówił. Po wyborach opuścił jednostkę. Był to jedyny znany mi wypadek, kiedy oficer Armii Radzieckiej nadzorował czynności plutonu. Nigdy się nie dowiedzieliśmy, w jakim celu i dla kogo nasz sprzęt radiowy był przygotowywany.

Tuż przed wyborami zostaliśmy dobrojeni w pepesze; wydano nam ostrą amunicję i po dwa zapasowe magazynki, które trzymaliśmy przy sobie. Nasze kbk były jak zwykle umieszczone w stojakach zamkniętych na kłódkę, pod nadzorem podoficera dyżurnego. Tymczasem pepesze i magazynki do nich wisiady na oparciach łóżek. Każda drużyna otrzymała też po jednym erkaemie. Pepesze, erkaemy i amunicję po wyborach zabrano. Przepustek od 1 grudnia 1946 r. nie wydawano. Połowa żołnierzy batalionu na zmianę spała w umundurowaniu bez butów. W dniu wyborów, 19 stycznia 1947 r., w szyku zwartym (zdaje się, że nie było wymarszu do kościoła) udaliśmy się do lokalu wyborczego, który mieścił się w komendzie garnizonu. Nie było żadnych list wyborczych, nikt też nie kwitował kart wyborczych. Przy wejściu do lokalu, gdzie była urna, dostawało się kartę wyborczą. Głosowało się na numery przydzielone partiom politycznym – blok komunistyczny i PSL. Pamiętam, że przed wejściem do lokalu wyborczego „po cichu” można było otrzymać kartę wyborczą PSL.

Już po wyborach zza ogrodzenia od strony parku Łazienkowskiego obserwowaliśmy przejazd prezydenta elekta, Bolesława Bieruta, na zaprzysiężenie do gmachu sejmu. Asystował szwadron przyboczny prezydenta. Później szwadron ten stacjonował w Płocku. Tak się złożyło, że właśnie z tego szwadronu pochodził mój koń wierzchowy, którego użytkowałem w latach 1951–1953 jako dowódca plutonu obserwacyjno-meldunkowego 3 kompanii 8 samodzielnego pułku obserwacyjno-meldunkowego OPL. Kompania stacjonowała w Wałczu, a ja miałem 7 punktów obserwacji wzrokowej, rozmieszczonych na odcinku od Drawna do Czaplinka.

Kilka zdań o składzie personalnym okręgowego batalionu łączności. Jego dowódcą był mjr Włodzimierz Malinowski, oficer radziecki, Ukraińiec, dobrze mówił po polsku, miał żonę Polkę. Pochodził ze Żmerynki na Podolu.

Zastępcą dowódcy batalionu ds. polityczno-wychowawczych był kpt. Franciszek Sielicki, były żołnierz frontowy 1 DP, odznaczony Krzyżem Walecznych. Podobno zwolniony z wojska za tzw. odchylenie prawicowo-nacjonalistyczne. Po latach dowiedziałem się, że jest rusycystą na Uniwersytecie Wrocławskim. Szefem sztabu batalionu był kpt. Stanisław Jasiakiewicz, przedwojenny żołnierz zawodowy, w czasie okupacji w AK, po wojnie o ile wiem represjonowany. Zastępcą szefa sztabu batalionu ds. operacyjnych był kpt. Tadeusz Bieniowski, lwowiak. Na tle innych oficerów wyróżniał się kulturalnym sposobem bycia, odkomenderowany później do Ministerstwa Komunikacji. Kompanią szkolną dowodził kpt. Wiktor Wójcicki, przedwojenny podoficer zawodowy, żołnierz Armii Krajowej.

Lekarzem batalionu była felczer, chor. Matelska (imienia nie znam). Podobno hrabianka, b. żołnierz frontowy 1 DP, zdemobilizowana w 1947 r. Zastąpił ją na krótko kpt. Zbigniew Dworzak, który podobno w czasie okupacji był lekarzem Komendy Głównej AK (ściślej Kedywu KG AK – red.). Jego zastępcą był por. Klawe. Do wojska został powołany na okres dwóch lat; jego ojciec miał jeszcze kilka aptek w Warszawie.

O naszej kompanii szkolnej wspominałem. Zbrojmistrzem, czyli szefem uzbrojenia batalionu był por. Jerzy Zgorzelski, b. żołnierz warszawskiej AK; w wojsku był do 1951 r.

Instruktorem służby ruchu radiotelegraficznego, czyli nadawania i odbioru znaków Morse'a, a także prowadzenia korespondencji radiowej, był st. sierż. Józef Szymański, przedwojenny podoficer zawodowy. Wojnę przeżył w niemieckim stajagu. Opowiadał nam, że w tym samym obozie byli Francuzi i Anglicy. Anglik, gdy przechodził obok Francuza, to bez słowa unosił ręce do góry, udając, że się poddaje. Była to aluzja do kapitulacji Francji w 1940 r.

Sam Szymański na krótko przed wojną (przed 1938 r.) zwolnił się do cywila i pracował, jako pracownik kontraktowy, w tajnym ośrodku nasłuchu radiowego II Oddziału Sztabu Głównego w Pyrach pod Warszawą.

W tamtych latach nie było w Wojsku Polskim radiotelegrafisty, który mógłby dorównać st. sierż. Szymańskiemu w szybkości nadawania i odbioru znaków Morse'a. Na centralnych zawodach Wojsk Łączności w Zgierzu w 1948 r. zdobył mistrzostwo WP w tej konkurencji oraz mistrzostwo zespołowe na radiostacji RSB-F. Byłem w jego załodze. Zwolniony w 1950 r. z wojska, został potem zatrudniony jako instruktor SRR w jednostce rozpoznania radiotelegraficznego w Wałczu.

Wiosną 1948 r. batalion przeniesiono do Mińska Mazowieckiego. W Warszawie została kompania sztabowa. Koszary w Mińsku Mazowieckim objęliśmy po 57 pułku artylerii konnej 1 Warszawskiej Dywizji Kawalerii. Dowódcą był ppłk Franciszek Rafacz, przedwojenny oficer. Z jego synem Januszem służyłem w sztabie 2 Korpusu OPK w Bydgoszczy. Do wiosny 1939 r. stacjonował tu 7 Pułk Ułanów Lubelskich imienia gen. Kazimierza Sosnkowskiego.

Zakwaterowanie żołnierzy służby zasadniczej znacznie się poprawiło. Zniknęły piętrowe łóżka, spaliśmy po 8–10 osób w jednym pomieszczeniu. Była prawdziwa kuchnia i stołówka. Chleb był pokrojony w koszyczkach na stole, kawa posłodzona. Była świetlica i prawdziwa sala wykładowa. Była też łaźnia z prawdziwego zdarzenia. W byłej ujeżdżalni zimą graliśmy w siatkówkę i „w nogę”. Zmorą były liście spadające z olbrzymich topoli; każdego ranka aż do później jesieni zamiast gimnastyki było grabienie liści. Druga „zmora” to stajnie pełne końskiego nawozu; musieliśmy go wynosić przed stajnię, skąd był zabierany przez okolicznych rolników.

Pod kierownictwem zastępcy ds. politycznych kpt. Franciszka Sielickiego powstał w batalionie „zespół estradowy”. Koledzy przywieźli z domu swoje instrumenty. Powstały też zespoły: recytatorski, muzyczny i wokalny. Na świetlicy było „trofiejne” pianino pozostawione przez 57 pak. Występowaliśmy w naszych koszarach oraz w okolicznych miasteczkach i wioskach. Razem z oficerami RKU braliśmy udział w propagowaniu powstającej „Służby Polsce”.

Brakowało nam tylko warszawskich seansów filmowych. W koszarach były organizowane dla miejscowej młodzieży potańcówki. Tam też spotkałem się z działalnością Towarzystwa Przyjaciół Żołnierza: na Wielkanoc panie z Mińska Mazowieckiego obdarowały każdego z nas pętkiem kiełbasy, pisanką i małym białym chlebkiem. Podobno tak nakazywała tradycja.

Kadra mieszkała w przestronnych budynkach, wybudowanych z tzw. funduszu kwatermistrzowskiego. Było też kasyno. Kadra zawodowa założyła sklep spółdzielczy. Żołnierze służby zasadniczej mogli tam robić zakupy. Nie sprzedawano nam jednak alkoholu.

W tym czasie członkowie Polskiej Partii Robotniczej (PPR) działali w wojsku jeszcze w „podziemiu”. Na zebrania chodzili do miejskiego koła PPR. Wszyscy oficerowie byli zorganizowani w Kołach Pracy Społecznej.

Mały przyczynek do historii. Przed budynkiem sztabu – w Mińsku Mazowieckim – była marmurowa płyta z napisem (cytuję z pamięci): *Tu leży Kasztanka, ulubiona klacz bojowa Marszałka Piłsudskiego*. Płyta była i pewnego dnia zniknęła. W budynku sztabu, na korytarzu, stała oparta o ścianę duża marmurowa płyta ku czci żołnierzy poległych w latach 1918–1920. Ta tablica też zniknęła. W „Zielonym Sztandarze”, organie ówczesnego PSL, ukazała się notatka, że wojsko w Mińsku Mazowieckim „bezcześci” pamiątki narodowe. Tablice w stanie nienaruszonym przetrwały niemiecką okupację. Ostały się też przez okres krótkiego stacjonowania Oficerskiej Szkoły Piechoty, a przed naszym batalionem – 57 pak. Prawdopodobnie obie te tablice nie podobały się ppłk. Malinowskiemu, który – jak już wspominałem – był oficerem Armii Radzieckiej, a poza tym pochodził ze Żmerynki. Tam w czasie wyprawy kijowskiej stacjonował Naczelny Wódz Józef Piłsudski. Być może leżą zakopane na terenie mińskich koszar. Malinowskiego odesłano do ZSRR. Po nim dowódcą 1 okręgowego batalionu łączności został mjr Wiktor Kamiński, odznaczony Krzyżem Grunwaldu, frontowy żołnierz 1 DP. Batalion kilkakrotnie brał udział w akcjach przeciwko zbrojnemu podziemiu. Jeździliśmy po terenie powiatów mińskiego, siedleckiego i łukowskiego, gdzie działała grupa „Młota” (Władysław Łukasiuka – przyp. red.). Do bezpośredniego starcia jednak nigdy nie doszło. Przed Wielkanocą grupa obrabowała warszawskich kupców, którzy przyjechali do miejscowości Łosice po zakup żywca na święta. Do pościgu za „Młotem” poderwano naszą kompanię podczas śniadania. Do stołówki wpadł por. Zygmunt Klimecki i rozkazał: *Kapral Juskiewicz* (byłem wtedy podoficerem dyżurnym kompanii) *ogłoście alarm!* Odpowiedziałem, że to chyba prima aprilis – było to pierwszego kwietnia. Porucznik Klimecki na swoją komendę poderwał kompanię. Nie zdążyliśmy zjeść śniadania. Ruszyliśmy po uzbrojenie i ostrą amunicję. Zacząłem liczyć naboje na sztuki, ale wpadł szef sztabu batalionu kpt. Jasiakiewicz i kazał wysypać amunicję ze skrzynek na podłogę; każdy wziął tyle, ile chciał. Mimo to po powrocie kompanii z akcji nie doliczyłem się braku choćby sztuki.

Ścigaliśmy grupę zbrojną, lecz miała samochody i zniknęła nam gdzieś nad Bugiem. Kadra chciała kupić chleb u miejscowych gospodarzy, ale wszyscy odpowiadali, że *chleb będzie pieczony dopiero jutro*.

W październiku 1948 r. podpisałem 3-letni kontrakt podoficera nadterminowego. Wyznaczono mnie na kierownika tajnej kancelarii. Byłem kancelistą, nauczyłem się pisać na maszynie. Pod moją pieczę znajdowały się różne dokumenty służbowe, w tym także teczki personalne kadry – stąd moje wiadomości kto był kim. Wiosną 1949 r. batalion przeniesiono do Legionowa. Znów przejęliśmy koszary po „koniarzach” z rozformowanej 1 Warszawskiej Dywizji Kawalerii.

Wiosną 1950 r. rozformowany został także i nasz batalion. Kompania sztabowa stała się załączkiem Węzła Łączności Warszawskiego Okręgu Wojskowego, a na bazie pozostałości 1 okręgowego batalionu łączności powstał batalion obserwacyjno-meldunkowy. Zapoczątkował on tworzenie służby obserwacyjno-meldunkowej, poprzedniczki dzisiejszych wojsk radiotechnicznych.

Roman Juskiewicz